

ZBIGNIEW NIENACKI

PAN SAMOCHODZIK

i UROCZYSKO



Zbigniew Nienacki
Pan Samochodzik i Uroczysko
powieść z serii: „Pan Samochodzik i...”

© by Zbigniew Nienacki
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:
Katarzyna Kołodziej

Korekta i skład:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I
w Wydawnictwie Literatura

ISBN 978-83-7672-482-9

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2017
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630-23-81
faks (42) 632-30-24
www.wyd-literatura.com.pl

ROZDZIAŁ I

Podróż na Uroczysko – Niespodziewana burza – Pierwsza wzmianka o diable Kuwasie – Tajemnicze światelko – W prawo czy w lewo? – Wskazówki dziada-zielarza – Skarby w kurhanie – Złośliwość diabła Kuwasy

Na Uroczysko zabrał mnie Nemsta swoją nowiutką ifą w słoneczne, upalne popołudnie. Ranek zmarudził w banku, odbierając gotówkę na utrzymanie stacji archeologicznej, potem na chwilę wstąpił na uniwersytet, potem do muzeum archeologicznego, gdzie przekazał sklasyfikowany eksponat. W rezultacie wyjechaliśmy z miasta w najgorszą porę – w popołudniowy upał. Cała ekipa Nemsty wyjechała już wcześniej, zabierając ze sobą drewniane części baraku.

Po trzech godzinach jazdy skręciliśmy z głównej szosy na boczną drogę. Była z żółtej, stwardniałej w słońcu gliny i biegła między ścianami sosnowego boru. Tu właśnie zaskoczyła nas burza. Nadeszła ukradkiem, zasłonięta wysokim lasem, po cichu, nawet bez grzmotów. Ogarnęła nas niespodziewanie, nakryła ciemnością i rudawym groźnym blaskiem, w którym pnie sosen i gliniasta droga przez las wydawały się jakby skąpane w świetle buzującego gdzieś blisko pożaru.

Nemsta dodał gazu. Może łudził się, że szybkość ify pozwoli nam wyrwać się spod dachu burzliwej chmury? Huknął grom. Jeden! Drugi! Trzeci! Na ułamki sekund czerń lasu i nieba rozprysła

się od zygzaków błyskawic, jak szkło uderzone kamieniem. Grzechotały gromy, zerwał się silny wiatr. Przygiął drzewa, uderzył w samochód, rozgniatając na szybach grube krople deszczu.

Burza pędziła przez las na podobieństwo rozszalałego konia. Dudniła kopytami, cwałowała ostrym pędem, a jeszcze raz po raz jakby ją ktoś poganiał batem, podcinając palbą błyskawic.

Lunął deszcz. Ogłuszył nas łomot kropel na blaszanym dachu, wiadrami wody chlusnęło na szyby. Nie pomogły włączone wycieraczki, ukryci w suchym pudełku wozu nie widzieliśmy nic przed sobą, nawet końca maski samochodu. W strumieniach deszczu, w łoskocie grzmotów, otoczeni rojem błyskawic stanęliśmy na leśnej drodze.

– A wiesz, że burza złapała nas prawie o krok od celu? – rzekł Nemsta, częstując mnie papierosem. – Uroczysko powinno być zaraz za lasem. Powinniśmy tam napotkać rozstaje z drewnianym krzyżem, a stamtąd jedna droga prowadzi do wsi Oporna, a druga, bliższa, na Uroczysko.

– Dlaczego u ciebie wszystko „powinno być”?

– Samochodem odbywam tędy podróż po raz pierwszy. Auto-bus jeździ okrężną drogą przez wieś Oporną. Powiedziano mi, że tędy bliżej, więc drogi prostuję...

Przytoczyłem mu znane przysłowie o takich, co drogi prostują, a potem w domu nie nocują.

– Tak. Wszystko możliwe – zgodził się Nemsta.

Ulewa ciągle monotonicznie bębniła w karoserię. Spojrzałem na zegarek. Dziesięć minut staliśmy już na leśnej drodze. Milczeliśmy, sennie śledząc dziwacznie połamane kreski błyskawic.

Niebo jakby zszarzało, tracąc swój dotychczasowy rudawy odcień. Otaczał nas teraz nie tyle mrok burzy, ile ciemność przyspieszonego burzą wieczoru. Świecące reflektory nie potrafiły przebić gęstej strugi deszczu. Wszystko dookoła nas spoczywało w niebieskawej mgle.

Nemście znudziło się milczenie.

– Komuś tam nie podoba się nasz przyjazd na Uroczyisko. Ta nagła burza to figiel Kuwasy – rzekł z powagą.

– Kuwasy?

– Nie słyszałeś o nim? Tak się nazywa tutejszy diabeł.

– Nie słyszałem.

– To jeszcze o nim usłyszysz. Kilkakrotnie przybywałem na Uroczyisko i za każdym razem przywoziłem stąd jakąś „pamiętkę”. Dwa razy były to ślady po uderzeniu kamieniem w głowę, raz zaginęły mi paliki, którymi wyznaczałem teren pod nasze obozowisko. Próbowiałem odnaleźć sprawcę, pytałem o niego ludzi w Opornej. Wzruszali ramionami. „Kuwasa winien” – mówili...

Nie dokończył, oślepił nas straszliwy błysk, a równocześnie usłyszeliśmy głośny huk. To piorun uderzył gdzieś w pobliżu. Ulewa z nową siłą załomotała w dach wozu. Pod gardłem czułem mocne, gwałtowne uderzenia serca... Dopiero teraz zdałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa przebywania w lesie podczas burzy.

Lecz ona jakby już wyczerpała swe siły. Deszcz stawał się coraz rzadszy, grzmoty pomrukiwały wciąż dalej i dalej i wkrótce odróżnialiśmy już czern lasu od jaśniejszej pokrywy nieba.

Wyruszyliśmy w dalszą podróż. Wolno, na ile pozwalała słaba wciąż jeszcze widoczność i śliska od błota droga. Uległa ona podczas burzy zadziwiającej przemianie. Przedtem twarda, ubita jak beton, teraz koła samochodu grzęzły po ośki. Motor warczał, wył, wyciągając opony z chwytności mazi. Wystarczał jeden nieopatrzny ruch kierownicą, a poczynaliśmy ześlizgiwać się do rowu napełnionego wodą. Błocko chwilami kończyło się raptownie, samochód wyskakiwał z niego jak z procy i znowu nagle osiadaliśmy w następnej kałuży, o mało nie tłukąc sobie nosów o przednią szybę. Taka męcząca jazda trwała do skraju lasu.

Tu Nemsta przystanął. Nie było ani krzyża, ani rozstaja. Tylko gdzieś, na horyzoncie, rozlewała się na niebie luna wielkiego pożaru.

Dokąd jechać? Czyżby Nemstę źle poinformowano? A może jeszcze w lesie przeoczyliśmy i krzyż, i rozstaje?

Zawróciliśmy spory kawałek drogi. Bez rezultatu. Zdecydowaliśmy się więc jechać naprzód.

Deszcz ledwie już siąpił, ale niebo znowu stało się pochmurne i niskie. Wiał silny wiatr, na skraju lasu o pnie sosen odbijał się czerwony blask pożaru. Krwawa luna paliła się we wszystkich kałużach na drodze, w każdej odrobinie wilgoci na polu. Razem z tym wszystkim i my powieszeni byliśmy cienką warstewką odbłasku płomieni na horyzoncie. Droga przed nami widniała nadal błotnista, grząska. Nie to jednak okazało się najgorsze. Stała się wąską, ot, zwykłą polną drogą z głębokimi śladami po kołach wozów.

Nareszcie rozstaje! Tylko że bez krzyża.

Którą drogę wybrać? W lewo czy w prawo? Jak długo, u diabła Kuwasy, będziemy szwendać się po nocy, podróżując w niewiadomym kierunku?

Rozejrzeliśmy się po okolicy.

– Tam na prawo błyszczy jakieś światełko – dostrzegł Nemsta.

Na tylnym siedzeniu leżały mój nieprzemakalny płaszcz i kapelusz. Sięgnąłem po nie, włożyłem na siebie i wyruszyłem w stronę ledwie, ledwie widocznego w polu światełka.

– Bądź ostrożny! Tu mogą być bagna i Kuwaaasaaa! – wołał za mną Nemsta.

Bagien nie napotkałem. Lecz jak na złość lub na rozkaz diabła Kuwasy znowu zaczął kropić deszcz. Potykałem się w świeżych redlinach kartoflisk, nogi plątały mi się w jakichś badyłach i łącinach, w butach poczułem wkrótce wilgoć. A światełko wciąż było daleko.

Mokro i zimno. Przeskoczyłem wysoko podoraną miedzę, jeszcze chwilę przedzierałem się przez gęste zboże i wyszedłem na łąkę.

Kuwasa? – rozmyślałem. – Co za diabeł ten Kuwasa? Tyle jeźdź po Polsce, a jakoś nie słyszałem jeszcze o takim diable.

Obejrzałem się za siebie. Łuna pożaru już przygasła. Samochód i droga zginęły w gęstej, deszczowej ciemności.

Na ceracie nieprzemakalnego płaszcza deszcz szumiał smutną, jednostajną melodię. Zmęczyło mnie potykanie się na polu, przystanąłem dla złapania oddechu. Na szczęście. Bo dostrzegłem głęboki rów pełen wody, w którym niechybnie znalazłbym się za sekundę.

Przeskoczyłem rów, precyzyjnie się przesuwałem przez rosnące na drugim brzegu krzaki tarniny. I oto u mych stóp poszukiwane światło. Malutkie, wątłe ognisko rozpalone pod szałasem z gałęzi.

Kto siedzi w tym szałasie? Dla jakich tajemniczych celów przebywa tu z dala od ludzi?

Podmokła łąka i szmer deszczu głużyły odgłos mych kroków. Ale nie było moim celem wnikać w cudze sprawy, nie zamierzałem nikogo przestraszyć swym nagłym pojawieniem się, kaszlnąłem więc głośno, ostrzegawczo.

– Bachura? To ty?... – zachrypiał czyjś męski głos spod gałęzi.

Podszedłem bliżej i przyklęknałem u wejścia do szałasu.

– Przepraszam, ale stoimy samochodem na drodze i nie wiemy, którędy jechać na Uroczysko – wyrecytowałem, żeby tego kogoś w szałasie od razu upewnić co do moich przyjaznych zamiarów, i – wiedziony ciekawością – wśliznąłem się do wnętrza.

Koło ogniska z nogami założonymi po turecku siedział starszy wiekiem chłop z siwą szopą zmierzwionych włosów. Ubrany był w dziurawą fufajkę, z przerzuconą przez ramię parcianą torbą – jakie widuje się u wiejskich, prośalnych dziadów. Patrzył na mnie

trochę przestraszonymi oczami. Jego od dawna nieogolona twarz obrośnięta była siwym, niechlujnym zarostem.

– Na Uroczysko... Którędy trzeba jechać na Uroczysko? – powtórzyłem pytanie.

– Na Uroczysko?... – zastanawiał się głośno, przyglądając mi się bardzo pilnie, jakby mój nieprzemakalny płaszcz, kapelusz i okulary na nosie były dla niego bardzo ważnymi szczegółami.

Nagle chytrze przymrużył oczy.

– To pan z tych uczonych, co to skarbów mają szukać na Uroczysku?

Skarbów, nie skarbów. Jak mu tu wytłumaczyć, że nie skarbów, tylko śladów dawnej kultury materialnej? Nie pora była na wyjaśnienia.

– Tak – przytaknąłem, byle prędzej otrzymać odpowiedź.

Jeszcze chwilę się namyślał. Proszalny zielarz-dziad – zdecydowanie określiłem w myśli jego profesję, spostrzegłszy obok ogniska pęczki traw i ziół.

– I samochodem stoicie na drodze? Samochodem?...

– Tak.

– Dużo was tam jest?

Zmarszczyłem czoło. Po co te pytania? Coś jak cień podejrzenia przemknęło przez moje myśli.

– Dużo nas – obojętnie wzruszyłem ramionami. I dodałem z odrobiną niecierpliwości: – No, w którą stronę na Uroczysko? W lewo czy w prawo? Bo stoimy na rozstaju.

– W prawo – rzekł pospiesznie.

– Na pewno?

– Na pewno, panie. Ja człowiek tutejszy...

Wyczołgałem się z szalasu i ruszyłem w ciemność.

– Patrzcie go, jaki ciekawy – mruczałem ze złością. Ale podejrzenie pierzchnęło. Wypytywał o samochód, ile nas jest na drodze.

Tak. Ludzie starzy bywają ciekawi, nawet natarczywie ciekawi. Dlaczego jednak siedzi po nocy w szałasie i kto to jest Bachura, którego nadejścia oczekiwał?

Odpowiedź znalazłem sam. Gdzie, jak nie w polu, w szałasie, ma nocować proszalny dziad-zielarz? Jest lato, zbierał na łące zioła i zanocował tutaj. A Bachura to zapewne jego dziadowski kompan, z którym wędruje przez wioski i którego wysłał do wsi, żeby wyżebrał trochę żywności.

Powrotna droga do samochodu wydała mi się krótsza i łatwiejsza. Znużonemu oczekiwaniem Nemście oświadczyłem z triumfem:

– W prawo! Jedź w prawo!

Z ulgą wcisnąłem się do auta i natychmiast zdjąłem przemoczone buty. Och, bylebym jutro nie miał kataru!...

Droga w prawo okazała się równie wyboista, jak i poprzednia. Kolebaliśmy się na niej jak stara żaglowa fregata* na wzburzonym morzu. Zmęczony, głodny, zziębnięty – zadrzemałem. Spałem minutę? Godzinę? Nie wiem. Obudziła mnie nagła cisza motoru i trzask drzwiczek samochodu. Do reszty odleciał mnie sen, gdy usłyszałem głośne, dosadne przekleństwa.

– To jak ci mówiono? W prawo mieliśmy jechać?

– W prawo.

– Spójrz, gdzieśmy przybyli!

Przylepiłem twarz do szyby. Nemsta stał przed samochodem i widziałem go wyraźnie w świetle reflektorów. Byliśmy na łące. Nemsta zrobił na niej jeden, drugi krok, a za trzecim wysunięta do przodu noga nagle zapadła się w trzęsawisko. Przed nami rozciągało się bagno!

Szybko włożyłem przemoczone buty.

* Fregata – szybki, trójmasztowy okręt.

– A to wstrętny dziadyga! Jeśli nie wiedział, którędy na Uroczysko, to mógł przyznać się do tego – pomstowałem. – Jeszcze trochę, a utopilibyśmy się w tym bajorze. Głupi, durny dziad.

– Głupi? On dobrze wiedział, dokąd nas wysłał!

Nemsta wlaź do wozu i kazał mi opowiedzieć cały przebieg rozmowy z dziadem na łąkach. Kiedy zdawałem mu szczegółową relację, tylko kiwał głową, jakby wszystko, co mówiłem, doskonale tłumaczyło zagadkę naszego zabrnięcia na moczary.

– Błąd polegał na tym, że zdradziłeś mu przynależność do naszej ekipy. Komu innemu na pewno dałby dobrą informację. A nas wysłał na bagno...

Uśmiechnąłem się sceptycznie. Nie lubię domorostłych Sherlocków Holmesów. Powiedziałem Nemście, że jest przesadnie podejrzliwy.

Oburzył się. Odsunął palcami trochę włosów na głowie i ukazał jeszcze niezabliźnioną szramę.

– Widzisz, jak mnie urządzono na Uroczysku? Dwa razy dostałem kamieniem w głowę. Dookoła Uroczyska wsie są bardzo zacofane, na siedem wsi tylko jedna szkoła. Istnieje tu wśród ludzi legenda, że w kopcu na Uroczysku diabeł Kuwasa ukrył swoje skarby. Próbowali ich nawet szukać, bo od jednej strony kurhan jest rozkopany. Rzecz jasna, nic nie znaleźli i zaprzestali. Ale wierzą, że skarby jednak są. Usłyszeli, że przyjechaliśmy rozkopywać kurhan, i są nam przeciwni, bo myślą, że zabierzemy sobie skarby, które do nich powinny należeć. Oto i cała tajemnica tego dziadowskiego kłamstwa. Diabeł Kuwasa jest złośliwy...

– Przepraszam, ale co ma z tym ten Kuwasa?

Wzruszył ramionami. Udział Kuwasy w obdarzaniu nas kłopotami wydawał mu się oczywisty.

Rejterada z bagien zajęła nam chyba pół nocy. Odwrócić samochód na grząskiej łące o krok od trzęsawiska? Nie, to niełatwa sprawa. A potem znowu uciążliwa powrotna podróż aż do rozstaja.

Z początku zamierzałem nawet pójść do szałasu na łąkach i zażądać od dziada wyjaśnień. Ale ktoś mógł mi zaręczyć, że nie będzie to niepotrzebne marnotrawstwo czasu? Dziad na pewno umknął w obawie, że jeśli nie utopiliśmy się, to powrócimy do niego. Byliśmy zbyt zmęczeni i senni na szukanie go po ciemnych polach.

Od rozstaja skręciliśmy drogą w lewo. Świtało, gdy wpadliśmy między opłotki Opornej, a stamtąd, zostawiwszy samochód na klepisku stodoły sołtysa, powędrowaliśmy na Uroczysko.

Przywitano nas przykrą wiadomością. Studenci pozostawili nieopatrznie na noc pod barakiem narzędzia do rozkopywania kurhanu: łopaty, łopatkę, sita. Ktoś w nocy sprzątnął je i ślad po nich zaginął.

– No widzisz, widzisz? Diabeł Kuwasa jest złośliwy – smutnie triumfował Nemsta.

Wtedy to przypomniałem sobie nazwisko „Bachura” i zapisałem je w notesie.

ROZDZIAŁ II

Uroczysko, kolegiata, kurhan, Czartoria – Stacja archeologiczna profesora Nemsty – Kłopoty młodego dziennikarza – N4 – Ostrzeżenie milicjantów – Nieprzewidziane troski

Uroczysko – mała owalna wysepka pośród moczarów – wygląda jak odwrócony do góry dnem spodek, na którym znajduje się spory kopiec porośnięty kwitnącym żółto miodownikiem. Ów miodownik porasta zresztą całą wysepkę i z daleka, na przykład spod starej kolegiaty, wzniesionej na wysokiej krawędzi bagien, całe Uroczysko stanowi żółtą plamę na tle brunatnozielonych moczarów. Z bliska także nie dojrzysz na Uroczysku żadnego ciekawszego szczegółu. Ani drzewa, ani najmniejszego krzaczka, pod którym można by się schronić w upalne południe; płaska, równa powierzchnia wysepki i sterczący na niej kopiec o kształcie ściętego u góry stożka. Widok ten nie ma w sobie nic interesującego i pięknego. Najwyżej urzeka swoim odosobnieniem i samotnością, stanowi cichy zakątek nikomu niepotrzebny, zapomniany i przez to trochę dziki, a nawet dziwaczny.

W chłodne dni i noce unoszą się nad Uroczyskiem roje złośliwych i krwiożerczych komarów, w ciepłe noce oprócz nich podnosi się z bagien biała, lepka mgła i jak liszaj osiada na listkach miodownika, opatulając wysepkę jakby wilgotną watą. W słoneczne dni Uroczysko bez skrawka cienia smaży się na moczarach jak na rozgrzanej patelni, powietrze przesyca tu mdły, ckliwy zapach

gnijących łądyg turzycy i traw bagiennych; w deszczową pogodę wysepka i moczary chłoną wodę jak gąbka. Dojście na wysepkę jest trudne, jesienią i wiosną wprost niemożliwe, zimą po zamrożonym śniegu, a latem wąską, grząską ścieżką od kolegiaty przez moczary. Po co zresztą tam chodzić, skoro nie rośnie na niej trawa, skoro nie znajdziesz na niej ani grzyba, ani jeżyny czy jagody?

Odmienny zupełnie jest widok, który roztacza się z Uroczyska, a szczególnie z wysokiego kopca. Oto najbliższej rozciąga się nieco monotonna powierzchnia okrążających wysepkę bagien – duże, czarne oczy rozlanej wody, gdzieniegdzie rude plamy zeschłych, gnijących kęp traw i roślin, czarne torfowiska, jeziora pokryte zielonym kożuchem rzęsy, tu i ówdzie kołyszące się nierówno wysokie kity trzciny i płoty tataraku. Dalej znowu morze podmokłych łąk, miejscami soczyście zielonych, to znów z ogromnymi połaciami lilaróżowych kwiatków lub żółcących się pasm, tak zwanych wolich oczek.

Ale bagna i łąki kończą się nareszcie i na wysokiej ich krawędzi stoi masywna, mroczna budowla dwunastowiecznej kolegiaty, podobna z dala – właśnie z kopca Uroczyska – do przykucniętego dziwaczного zwierza, który wsparł się o ziemię na przednich łapach, zgarbił, przyczaił, wtuliwszy głowę w ramiona i wystawiwszy spiczaste uszy. Dopiero gdy podejdziesz się bliżej, owe uszy okazują się dwiema prostokątnymi wieżami o ostrych, spadzistych hełmach, grzbiet zwierza stanowi stromy, duży dach, a wtulony łeb to empora* wciśnięta pomiędzy wieże.

Na przeciwległej zaś krawędzi moczarów zamykają horyzont wysokie, porośnięte sosnowym lasem wzgórze, nierówne, postrzępione jak brzeg naddartej książki. Zbocza wzgórz ciemnozielone, jak głęboka toń jeziora, i tylko w jednym miejscu łyse, skaliste,

* Empora – galeria obiegająca nawy kościoła.

z piargami wapiennego kamienia, bielejącego w zieleni jak wysuszone na słońcu kości. To Czartoria – skała wapienna – z wądołami i rozpadlinami po nieczynnych od lat kopalniach wapienia, z czarnymi dziurami po niepotrzebnych już piecach do wypalania wapna. Okolica pusta, ponura, nieurodzajna, niezamieszкана.

Przed tygodniem na grząskiej ścieżce do Uroczyska postawiono tablicę z wyraźnym, czytelnym napisem: „UWAGA! ROBOTY NAUKOWO-BADAWCZE. NIEZATRUDNIONYM WSTĘP MILICYJNIE WZBRONIONY!!!”. Trzy dni później w sąsiedztwie ziemnego kopca na wysepce zbudowano długi, drewniany barak, w którym oprócz okazałego pomieszczenia na skrzynie z eksponatami naukowymi są jeszcze dwie sypialnie, kuchnia, jadalnia oraz dwa oddzielne pokoiki dla personelu naukowego. Uroczysko nosi teraz oficjalną, urzędową nazwę – STACJA ARCHEOLOGICZNA, a pisane stąd listy profesor Nemsta stempluje podłużną pieczętką: „STACJA ARCHEOLOGICZNA NA UROCZYSKU; POCZTA OPORNA”.

W jednej sypialni w baraku mieszkają studenci, w drugiej studentki wydziału archeologicznego, przybyłe tu na wakacyjną praktykę; jeden pokoiłk dzielą między siebie doktorzy Narkuski i Nietajenko, drugi – ja i profesor Nemsta, kierownik stacji archeologicznej. A ponieważ i moje nazwisko zaczyna się na „N”, któryś ze studentów zdążył już na drzwiach wejściowych do baru napisać kredą: „N4”.

Profesor Nemsta, mój serdeczny przyjaciel, obiecał mi, że na Uroczysku będę obecny przy rozkopaniu prehistorycznego kurhanu – czyli owego kopca. Czy to jednak na pewno kurhan? I czy znajdzie się w nim rzeczywiście coś interesującego? Może jakieś gliniane naczynia z prochami lub szkielet z resztką broni, ozdób i innymi rzeczami z dawnych wieków.

– Zabierzemy na Uroczysko sporo fachowych książek – obiecywał mi profesor Nemsta, zachęcając do udziału w pracach swojej ekipy. – Do roboty nie będziemy cię zapędzać. Poczytasz sobie, porozmawiasz, pouczysz się archeologii, a to na pewno ci się przyda. Zwiedzisz nową okolicę, będziesz miesiąc na świeżym powietrzu. Jedź, jedź z nami! Nazbierasz tam może wiele ciekawych legend, zobaczysz wspaniałą budowlę romańską. No i będziesz świadkiem odkrycia prehistorycznego kurhanu.

Archeologia. To od niej zaczęła się ta moja miłość do staroświeczczyzny.

Było to przed pięciu laty, w początkach mojej pracy dziennikarskiej. Miałem wtedy dziewiętnaście lat. Do redakcji zatelefono- wano, że ekipa archeologów dokonała w Janisławicach w powiecie skierniewickim bardzo ciekawego odkrycia. Ktoś zadecydował: „Pojedźcie tam N...”.

W Janisławicach pokazano mi odkopaną poza wsią niedużą jamę, w której na wznak leżał szkielet nieboszczyka. Popatrzyłem na szkielet, na jamę grobową, zapisałem w notesie, jak to wszystko wygląda, wymieniłem cały inwentarz znaleziony w grobie. Jeden z uczonych poinformował mnie jeszcze, że znalezisko pochodzi ze środkowego okresu epoki kamienia, z tak zwanego mezolitu (10000–2500 lat przed naszą erą).

I to było wszystko, cały mój materiał do napisania reportażu. O mało nie rozplakałem się z rozpaczny tam, w Janisławicach, nad grobem człowieka z mezolitu.

Rozpacz moja musiała być jednak tak widoczna, a wygląd tak smarkaczowaty, że ulitował się nade mną jeden z członków ekipy – właśnie Nemsta, wówczas jeszcze magister. Odprowadził mnie na bok i opowiedział o warunkach, w jakich żył ów człowiek, o ówczesnym klimacie Polski, o przyrodzie epoki kamiennej.

Napisałem. Reportaż nie wyszedł nadzwyczajnie, lecz uszedł, to znaczy wydrukowano go bez specjalnych poprawek. Poszedłem potem do Nemsty i serdecznie mu podziękowałem. Poznałem wtedy jego ogromny pokój na piętrze brzydkiej, wielopiętrowej kamienicy, pokój podobny do muzeum albo wielkiej graciarni, gdzie z pozoru bez ładu i składu na podłodze, niezliczonej ilości półek, półeczek i stoliczków walały się książki, szczątki glinianych garnków, misek, przeróżne skorupy, jakieś stare ostrogi, monety, połamane miecze i setki innych przedmiotów nieznanego mi pochodzenia i przeznaczenia. Tego dnia odkryłem w sobie utajoną dotąd skłonność do staroświecczości. Poczułem się w tym pokoju dobrze jak nigdzie indziej, a słuchając opowiadań Nemsty o jego skorupach i garnkach – byłem prawie szczęśliwy.

Oto dlaczego trafiłem na Uroczysko.

Mieszkam tu już dwa dni. Nieustannie pada drobny, przenikliwy deszcz, który sprawia, że choć to początek lipca, powietrze jest chłodne jak wczesną wiosną.

Dwa dni. To dużo czy mało? I dużo, i mało – zależy jak dla kogo. Przypuszczam, że dla Nemsty i jego studentów przywykłych określać pochodzenie znalezisk z niezbyt precyzyjną dokładnością (dziesiątek lat w tę, dziesiątek w tamtą stronę – jaka różnica, gdy ma się do czynienia z całymi wiekami?) te dwa dni nie stanowią długiego okresu. Nie przejmują się deszczem, dni te spędzili prawie beczynnie, nie zaczawszy nawet rozkopywania kurhanu. Zresztą nie zatroszczyli się jeszcze o kupno nowych narzędzi w miejsce ukradzionych pierwszej nocy. Grają w brydża, w szachy, czytają książki, gotują jakieś wymyślne obiady. A ja?...

Przed wyjazdem na Uroczysko kupiłem w mieście gruby notes oprawiony w niebieskie płótno. Notes zawiera prawie dwieście kartek, lecz w czasie tych dni zapisałem dopiero jedno nazwisko.

I żeby zajęło więcej miejsca, nagryzmołem je wolastymi literami: „BACHURA”, a obok postawiłem znak zapytania i narysowałem małego człowieczka z żebraczą torbą na ramieniu i madejową maczugą w rękę.

Po nocnej przygodzie z dziadem-zielarzem i po kradzieży Nemsta obdarzył mnie funkcją swego zastępcy, zastępcy do zapewnienia bezpieczeństwa na Uroczysku. Ale co powinno wchodzić w zakres mych obowiązków – tego mi Nemsta nie wytłumaczył. Najprawdopodobniej sam nie wiedział.

Jestem więc zastępcą kierownika stacji archeologicznej i zupełnie nie orientuję się, co począć z tym fantem. Przypuszczam, że powinienem dbać o to, aby wypadki kradzieży rzeczy należących do naszej ekipy nie powtórzyły się więcej. Mało tego. Powinienem również wykryć sprawcę kradzieży i chronić badania na Uroczysku przed jakimikolwiek próbami ich przerwania. Zadanie trudne, prawda? Ale bardzo frapujące. I jeśli się weźmie pod uwagę, jak bardzo nudziłem się przez owe pierwsze dni pobytu na Uroczysku, będzie rzeczą jasną, dlaczego bez najmniejszego protestu przyjąłem jednak od Nemsty tę godność.

Pierwsze, co uczyniłem na swym nowym stanowisku, to zawiadłem na posterunek MO w odległym o cztery kilometry Przyglowie. Zawiadomiłem milicjantów o kradzieży narzędzi, podałem ich dokładny opis. Ale złodzieje na pewno doskonale je ukryli. Nie wierząc zresztą w szybkie odzyskanie straty, Nemsta postanowił pojechać samochodem do miasta i zakupić nowe łopaty, szufelki, sita.

Milicjanci odnieśli się z powagą do zawiadomienia. Obiecali nawet, że zjadą na Uroczysko, żeby dokonać tak zwanej wizji lokalnej. Gdy odchodziłem z posterunku, zalecili naszej ekipie większą przezorność i ostrożność.

– Macie jakieś obawy? Jakies podejrzenia? – zapytałem gorączkowo.

Nie byli skorzy do wyjaśnień.

– Nie, nie – wykręcali się ogólnikowo. – Ale sami pewnie wiecie, co ludzie gadają o tych skarbach na Uroczysku. Znaście chyba ludzi? Niejednego tam na pewno dręczy ta historia ze skarbami. Niejeden spać nie może z zawiści, że to wy, a nie on, wygrzebiecie je z kopca.

No tak, na pewno mają rację ci milicjanci.

– I w ogóle bądźcie ostrożni, nie pozostawiajcie baraku otwartego ani na chwilę, a w nocy lepiej by było, żeby ktoś z was czuwał.

Więc jednak boją się czegoś, mają jakieś podejrzenia? Spróbowałem przycisnąć ich do muru, dręczyłem pytaniami. Ale na próżno.

Wróciłem na Uroczysko, postanawiając mieć uszy i oczy na wszystko otwarte.

Na drodze koło kolegiaty napotkała mnie ifa Nemsty. Profesor był zły, spieszył się i przystanął tylko na chwilę, żeby zawiadomić mnie, że na noc na pewno nie zdąży wrócić na Uroczysko.

– Wyobraź sobie, że w tym powiatowym miasteczku koło nas dostałem tylko łopaty. Po szufelki, sito i po resztę potrzebnych narzędzi muszę jechać chyba do Warszawy. O Boże, jak się nam tu nic nie szykuje! – złościł się. – Zobaczysz, czeka nas tu istna katorga.

– Co znowu? Co się stało?

– Przecież na Uroczysku mamy nie tylko pracować. Jeść też trzeba. Jest tu nas jedenaście osób. A świeżym powietrzem nikt żołądka nie napełni.

– Nie masz pieniędzy na wyżywienie ekipy?

– Pieniądze są. Ale bądź tu mądry i kup jedzenie. Nikt w okolicznych wsiach nie chce nam nic sprzedać. Właśnie jeździłem teraz, prosiłem. „Żniwa niedługo, na żniwa chowamy” – tłumaczył się ludzie i nie chcą sprzedać ani masła, ani jajek. Żniwa żniwami,

ale że jest w tym trochę złej woli, trochę Kuwasowej złośliwości, to więcej niż pewne. Czekają nas więc częste podróże do miasta po żywność. Piętnaście kilometrów drogi. Wesoła perspektywa, co? Dobrze chociaż, że mam ten samochód. No, bywaj! A uważaj, żeby znowu Kuwasa czego nie zmalował. Tyle dni jesteśmy już na Uroczyску, a jeszcze nawet palcem nie pogrzebaliśmy w kurhanie.

Kiwnął mi głową i odjechał, szeroko rozpryskując na drodze wielkie, tłuste od gliny kałuże wody.

Studenci z naszej ekipy zupełnie się nie przejmują brakiem narzędzi. Ugotowali obiad, wydeptali na Uroczyску boisko, wbili przytaszczone skądś słupy i grają w siatkówkę. Tylko doktorzy Narkuski i Nietajenko są w zwarzonych humorach. Od południa już siedzą na czubku kurhanu, od czasu do czasu śledzą oczami przelatujące po niebie pary kaczek krzyżówek i od czasu do czasu kłócą się ze sobą.

A tymczasem niebo nagle wypogodziło się. Z rana było mgliste, bezbarwne, jakby ktoś mleka nalał do wody. Teraz zaś stało się niebieskie, aż turkusowe. Słońce przydało barw zieleni na łąkach i mokradłach. W jego blasku nawet mroczne zwalisko kolegiaty zyskało weselszy, jaśniejszy wygląd.